

WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.

[50]

GŁOS SUMIENIA.

Około roku 470 po Nar. Chr. gromadka młodych chłopców w wieku od trzynastu do piętnastu lat bawiła się na ogromnym dziedzińcu wspaniałego pa-

łacu. Jeden z starszych odłączył się od wesołych towarzyszy i stanął samotny na przepysznym ganku z białego kararyjskiego marmuru, dźwigany przez kilku takichże marmurowych olbrzymów, którzy pochyliwszy głowy i bary potężne, a wsparłszy o biodra ręce żyłaste, zdawali się podtrzymywać, nie tylko ten ganek rzeźbiony, ale i całą główną część pałacu. Gmach ten, mimo swego ogromu, łudził oko artystyczną pięknoscią swych kolumn i portyków precudnych. Dziedziniec cały wyspany był grubo miękkim, złocistym piaskiem, przywiezio-

nym zapewne kiedyś z głębin złotodajnych krain afrykańskich; a otoczony był w regularny kwadrat pyszną zielenią, tworzącą naturalny ale niezmiernie sztucznie usadzony żywopłot, gdyż składały się nań przeróżne południowe drzewka młode, warzyny, mirty i inne, umyślnie karłowato utrzymy-

wane, a złączone z sobą wzajem gęstym uplotem róż i jaśminów. Wysokie, smukłe cyprysy, w różnych odstępach stojące, stanowiły niby kolki w tym płocie...

Nad białym pałacem o wspaniałym żywopłocie,

zasłaniającym na poły dalsze zabudowania również okazałe, i nad złocistym dziedzińcem, w jednej stronie rumieniło się niebo, porannym słonecznym blaskiem, w drugiej zdawało się drześć jeszcze w błękitie bez chmurki. A ktoby, stanąwszy przy młodym chłopcu na ganku, rzucił okiem w stronę przeciwną tej, w którą chłopiec patrzył, ten ujrzałby poza ogrodem błękitne tonie, a poza niemi znowu ziemię, ogrody palmami i różami ocienione, u stóp ich na toniach ujrzałby wspaniałe rzymskie nawy, złotemi orłami zdobne,



Szczątki pałacu Teodoryka w Rawennie.

a wszystko to cudnie piękne, i ten patrzący odgadłby od razu, że się znajduje w najpiękniejszym punkcie ziemi, łączącym niby klamra uroczą trzy oddzielne światy: Europę, Azję i Afrykę, a spinająca je klamra jest to Konstantynopolis, miasto Konstantyna, Byzancyum. Po wspaniałej powie-

rzeczowności gmachu łatwo też było poznać siedzibę mocarzy świata, pałac cesarski.

Ale chłopiec samotny na marmurowym ganku, różami owitym, nie patrzył, ani na swawolących u stóp swych rówieśników, ani na piękne nad pięknymi, w Bosforze migające widziadła; przeciwnie, spoglądał on tam, gdzie najmniej było na co patrzeć, bo w stronę północną, i nie na wspinałe tam otoczenie cesarskiej siedziby, ale poza nią w dal, jakby szukając czegoś pod dalekiem niebem...

— Cóż tam jest tak ciekawego, gdzie od godziny już patrzysz, Teodoryku?... — zapytał nagle ostry, ale nie głośny, jakby podejrzeniem dyszący głos tuż za chłopcem. Teodoryk odwrócił się, ujrzawszy cesarza Zenona i przybrał postawę wyrażającą głębokie uszanowanie.

— Patrzę na niebo, czyli nie zapowiada burzy na dzisiejszą przejażdżkę — odpowiedział Teodoryk.

Ale Zenon, tyran, a więc podejrzliwy, wpatrzył się głęboko w twarz młodzieńca, pokręcił głową, i zstępując z marmurowych niskich stopni na złocisty piasek, mruknął:

— Burzy?... hm... daj pokój, nie wypatruj ty lepiej burzy z tej strony, bo gdyby nadeszła, źle byłoby z tobą, który zastawem jesteś na to, żeby jej nie było...

Cesarz Zenon wziął był ośmioletniego Teodoryka jako zakładnika przyjaźni, jako zastaw, od jego ojca Teodomira, króla Ostrogotów, w pół dzikich a potężnych barbarzyńców północy, zagrażających państwu rzymskiemu, rozdwojonemu i słabnącemu już oddawna. Wyrazy powyższe, w pół groźne, w pół szydercze, powiedział cesarz do siebie, ale Teodoryk miał słuch bystry i otóż stało się znowu to, co zdarzało się tam bardzo często, to jest, że podejrzliwa troska Zenona o to, aby Teodoryk nie myślał o sprawie swego ojca i swego ludu, naprowadziła go właśnie na te myśli, których cesarz się lękał, ponieważ mogły mu one w Teodoryku przysposobić nowego nieprzyjaciela. Teodoryk już nieraz poczuł, że cesarz życzył go upłatać w puste młodzieńcze rozrywki, otaczając go najswawolniejszą młodzieżą, aby zmiekczywszy charakter przyszłego króla Ostrogotów, uczynić go niegroźnym dla rzymskiej upadającej potęgi. Dla tego też właśnie rozmyślał chłopiec często o swym ludzie, o ojcu, i o swém własnem położeniu na świecie; strzegł się, nie tylko pustych rozrywek, ale gardził nawet i świetnemi niektórymi naukami i talentami, które pod pozorem starannego wychowania usiłowano rozbawić go, i umysł mu rozproszyc, a za to całą duszą oddawał się ćwiczeniom bojowym i głęboko zastanawiał się nad sztuka

ką rządzenia... Zajęty i teraz takimi myślami szedł za cesarzem w dziedziniec, a gdy Zenon zapuścił się w głąb' rozkosznych ogrodów, Teodoryk stanął zadumany przy krzaku różanym i rozpoczął starą jak świat wróżbę, obrywając z pięknej róży listek po listku, a za każdym wymawiając pocichu jeden z tych tajemniczych wyrazów:

— Będę... zginę... zwyciężę... będę... zginę... zwyciężę...

Na ostatni listek wypadł mu wyraz: zwyciężę!... Teodoryk zapłonał dumą radosną... a wtém, ponurym głosem wymówione, zabrzmiały mu nad uchem złowróżbne wyrazy:

— Aha!... ale tylko póty, póki siebie zwyciężać będziesz!...

Teodoryk zadrżał i szybko spojrzawszy za siebie, ujrzał przechodzącą starą Egipcyankę, za czarownicę uchodzącą u nieoświeconych umysłów, a dla tego niby wstępującą do pałacu, że biegłą była lekarką... Teodoryk, pomimo, że oświecony i chrześcijanin, był jednak także zabobonnym, więc wyrazy Egipcjanki głębokie na nim wywarły wrażenie, zdawało mu się, że ona głąb' jego myśli wyczytała i przyszłość wiedziała, i przeciw groźbie jakiejś w tej przyszłości dała mu ważną przestrożę. Pobiegł copędzej za lekarką i udarował ją czém tylko mógł rozporządzać na razie, a później nieustannie wróżbę ową w myśli powtarzając, uczynił z niej sobie jakby prawo postępowania na całe życie.

Zwyciężać siebie samego, stało się dlań hasłem, i jakby sztandarem, pod którym poszedł zwyciężać świat. Bo nieulega wątpliwości, że tylko ten zapanuje nad ludźmi, kto nad sobą panować umie. A nie było wady ani słabości w duszy Teodoryka, którejby on silną wolą pod władzę rozumu nie poddał i tak ją chwyciwszy, nie zapanował nad nią, zwyciężając w niej siebie samego.

Nie dalej jak w lat pięć potem, panował już Ostrogotom po śmierci swego ojca. Sprawdził się już pierwszy wyraz jego różanej wróżby, gdy mówił:

— „Będę!... władcą”. Potem, chcąc dogodniejsze znaleźć dla ludu swego siedziby, wyruszył na zdobycie owego pięknego Konstantynopola, w którym niegdyś jako zakładnik musiał uszanowanie okazywać nieprzyjacielowi swemu. Ale cesarz Zenon wszedł z nim w układy, wskazując mu stary Rzym jako cel właściwszy dla jego oręża. Teodoryk usłuchał, zwyciężając własną skłonność dla sławy ludu swego, dla którego Rzym stary był korzystniejszą zdobyczą. Przed każdym zastępem bojowników, tamującym mu drogę, powiedział sobie: Zginę lub zwyciężę, i zwyciężał. Zdobył Rawennę po trzyletniem oblężeniu, a za

nią całe Włochy i Sycylią, z której sam przed nim ustąpił Trazymund, król Wandalów afrykańskich. Odoakr, król Herulów, władca ówczesny Włoch, po trzyletniem oblężeniu w Rawennie zdał się na łaskę. Padło na niego podejrzenie, że godził na życie Teodoryka i ten w czasie uczty zabił go własną ręką. Czyn ten okrutny zatarł Teodoryk długiem chwalebnem panowaniem.

Do Italii przyłączył on wkrótce Ilirya, Pannonia, Recya, Wizygoci wezwali go na swego władcę i władza jego rozciągała się od głębi Hiszpanii przez większą część Europy aż do Sirmium nad Sawą. Nie było króla, któryby nie zapragnął spokrewnić się z nim związkiem rodzinnym. Sam zaślubił córkę Kłodoweusza, władcy Franków, siostrę swą poślubił królowi Wandalów, siostrzenicę królowi Turyngii, jedną córkę królowi Wizygotów, którym się opiekował, drugą królowi Burgundów. Barbarzyńiec ten, na tronie Cezarów zasiadłszy, stał się naczelnikiem i głową królów i takie z głębi pałacu swego w Rawennie ludom swoim głosił wyroki:

— Niechaj inni królowie zdobywają miasta, niech gromadzą zdobycze i skarby, ja mam jeden cel tylko, aby ludy, które podbiłem, pożałowały, że nie uczyniłem tego dawniej.

Historycy owocześni nie znajdują wyrazów na pochwałę jego umiarkowania i religijnej wyrozumiałości.

Tak stały rzeczy, wódz barbarzyńiec „zwyciężył” i panował potęgą i przykładem, dopóki... gwałtowna zawiść nie zaślepiła go raz, i zemsta, najdziksza z uczuć barbarzyńskich, nie ozwała mu się w zwyciężkiej dotąd nad własnymi namiętnościami piersi: zemsta przeciw cesarzowi Justynianowi i katolikom za prześladowanie arian, a do zemsty przyłączyła się zaraz podejrliwość, chodząca zawsze w zemsty orszaku. Teodoryk, podejrzewając własnego zięcia Boscyusza o spisek z dworem Konstantynopolitańskim, skazał go na śmierć niesłusznie. Zaledwie spełniono wyrok, gdy wedle podania, głowa zabitego miała się ukazać zabójcy, a sumienie powtórzyło mu słowa dawno zapomnianej wróżby: „Zwyciężałeś, dopókiś samego siebie zwyciężał, a teraz”...

Zwycięzca zwycięzców, Teodoryk, władca Rzymu, złamany był wyrzutami sumienia. Zapewne pamięć dawniej spełnionej zbrodni, zamordowania Odoakra, zbudziła się teraz w jego duszy. Pałac i grób jego istnieją do dzisiaj w Rawennie. Potęga Ostrogotów wraz z ostatniem tchnieniem ich władcy znikła, jak sen.

Michał Krzemień.

KRAKOWSKA PSZENICA.

Legenda *)

przez Sewerynę Duchinią.

Nad morzem, w przemysłnych Fryzonów krainie,
Gród istniał potężny przed laty,
Czém jedno od wieków szeroki świat słynie,
Gród w sobie zamykał bogaty.

A ludzie jak pszczoły roili się w grodzie,
A hasłem ich wiara i praca,
I chleba dostatkiem znosiły im łodzie,
Bo *pracą* Pan *wiernych* zbogaca.

Gród wzrasta w potęgę od wieka do wieka,
Lecz wzrasta w chciwości i pysze,
Już złote wieżycy lśnią cudnie zdaleka,
Flag tysiąc wiatr w porcie kołysze.

Już zmija zawiści jad w serce tchnie żywe,
A zbytek potwornie się szerzy,
Pan ostrzy miecz kary na nową Niniwę,
O! rychłóż nim grzesznych uderzy?

Do serca niewiasty zna ścieżkę wąż stary,
Jéj sprawą rozpostarł się wszędzie,
Znow umysł niewieści wzdął pychę bez miary,
Jéj użył za zguby narzędzie.

A żyła wśród grodu wspaniała niewiasta,
W znaczeniu, w dostatkach, swobodzie,
Ku zbyt kom szalonym, gdy żądza wciąż wzrasta,
Nie stało dość skarbów w jéj grodzie.

Bo wszystko posiadała, co ziemia dać może,
Lecz niczém niesyta chęć pańska.

— „Płyn, sługo mój, rzeczce, daleko, za morze.
Do grodu Lechitów, do Gdańska.

Tam prawią mi dzieje, są cuda bez liku,
Gdańsk słynie po świecie przez wieki,
Niedarmo na brzegi bursztynne Bałtyku.
Dążyli Kartadzy i Greki.

*) Około IX wieku słynniejszém z miast handlowych na fryzonskiem wybrzeżu (w dzisiejszej Holandyi) było miasto *Stavoren*. Mieszkańcy jego pierwsi przedarli się na Bałtyk, przez cieśninę Sund i tą drogą ogromny prowadzili handel. Miasto *Stavoren* miało port wygodny i bezpieczny nad zatoką Zuydersee. Tu przybijały liczne okręty, ładowne w najdroższe towary wschodu i zachodu. Żadne inne miasto okoliczne nie mogło z niém walczyć o pierwszeństwo. Amszterdam był jeszcze małą rybacką osadą. Dziś zmieniła się postać rzeczy. Miasto *Stavoren*, owa pyszna *Niniwa* z nad *Zuydersee*, jak je niegdyś nazwano, doznało smutnego losu biblijnych grodów. Przyczyną upadku stała się szeroka piaszczysta ława, która powstawszy w samym porcie, zatamowała przystęp okrętom. Miejskowa legenda uznaje w tém kłatwę Boską; wiersz ten, ściśle na nią osnut.

Co blaskiem nieznanym uderzy twe oczy,
 Naładuj na łodzie, mój sługo”,
 — „Twa wola mi prawem”, rzekł sługa ochoczy,
 „Powrócę do grodu niedługo”.

I żagle rozwinął i pomknął po fali,
 Za dniami dni płyną a płyną,
 Drży serce niewieście, już sługa z oddali
 Powraca z wesołą drużyną.

I śmiałoż on stawa przed pani obliczem,
 Bo zdobył nieznaną rzecz w grodzie,
 — „O wierny mój sługo! nie wracasz znać z niczém.
 Co niosą ładowne twe łodzie”?

— „O panil ja cuda widziałem nad cudy,
 Co ludzka myśl jedno wymarzy,
 Czém słyną po świecie zamorskie te ludy,
 Widziałem u gdańskich kramarzy.

Widziałem z Damaszk złotogłów bogaty,
 Z nad Wołgi sobole i lisy,
 Tureckie dywdyki i perskie makaty,
 I czary bursztynne i misy.

I miody kowieńskie, i wina z Falerno,
 I atlas z florenckich jedwabi,
 O panil jam cudów moc widział niezmierną,
 A wszystko pociąga i wabi.

Lecz nad te znikome błyskotki i dziwy,
 O! wdzięczniej mi oczy zachwyca,
 Szczęśliwych nadwiślan skarb cenny, prawdziwy,
 Złocista krakowska pszenica.

Oj skarbu takiego, jak słońce na niebie,
 Nie znały fryzońskie wybrzeża;
 Więc polską pszenicę mam pani dla ciebie,
 Ładunek do portu domierza”.

— „Precz, sługo! niewiasta zawoła w zapale;
 Drży gniewem kipiące jęć łono:
 „Krakowskiej pszenicy niegłodnam ja wcale,
 Niech morskie ją fale pochłoną”.

I stało się zadość jęć woli zuchwałej,
 Sług orszak, na rozkaz swęć pani,
 Złocistęć pszenicy ładunek wspaniały,
 Zatopił już w morskiej przystani.

I spojrział Pan z nieba, jak Boży dar święty
 Bezbożna niewiasta bezcześci,
 I skinął, na zgubę gród skazał przeklęty,
 Za ciężki grzech pychy niewieścieć.

A doba nie mija, aż oto z pod morza
 Piaszczysta się ława dobędzie,
 Snać polską pszenicę zmieniła moc Boża,
 W tajemne swęć pomsty narzędzie.

* * *

Zdaleka dziś przystań mijają sternicy,
 W noc milczą ponuro zwaliska,
 I tylko gdzieniegdzie, z pod staręć wieżycy,
 Ognisko rybackie połyska.

I czasem, gdy rybak łódź pomknie po fali,
 Gdy spojrzy w bezludne pustkowięć,
 Zapłacze i piosnką się wodzie pożali,
 A woda mu pluskiem odpowie.

Bo biada, o biada! kto strwoni dar Boży;
 W rachunku z grzesznymi Pan ścisły,
 Wnet głowy bezbożnych ku ziemi ukorzy,
 Jak pomścił pszenicę z nad Wisły.

OSTATNI PIAST NA SZLĄSKU.

Opowiadanie historyczne

według podań ludowych ułożyła

Marya Świderska.

(Dalszy ciąg).

— Niech żyje nasz książę!—woła załoga zamkowa i lud, co w murach twierdzy szukał schronienia przed wrogiem, pustoszącym pola i cały jego dobytek.

— Witajcie z Bogiem, zacni rycerze moi, i ty, ludu pocziwy — odpowiada książę.

Hanulka z okienka wieży, w której spędziła noc we łzach i modlitwie, nasłuchując straszliwego bitwy zgiełku, widzi wracających rycerzy, wybiega by powitać stryja, przyjąć jeńców i rannych, którzy jęć pieczy mają być powierzeni. Na wieżycach zatknięto świeżo zdobyte chorągwie, a książę Bolesław leży snem twardym jak kamień na skórach niedźwiedzich, w komnacie jego rozciągniętych. Już słońce wzbilo się wysoko, a książę jak posąg z bronzu ulany nie poruszył się na rycerskiem swém posłaniu, gdy wtém do murów zamku zbliża się rycerz na koniu z dwoma giermkami, i białą powiewając chorągwią, wstępu się domaga.

Tym razem ukochana księcia gołąbka lekkim krokiem śpieszy do komnaty stryja i dotknąwszy jego ramienia, czułem słowy sen twardy przerwać usiłuje. Książę niespokojnie się porusza i cisnąc rękojeść miecza, co obok niego spoczywa, przerywanemi odzywa się wyrazy:

— Nic z tego... Piast się nie ulęknie... Szkoda krwi tęć... żal mi... Milsza ojczyzna... precz Niemcy! Grajcie na trąbach... niech na Wawelu posłyszają!...

Wreszcie rozbudzony słowami i pieśczętą synowicy, siada Bolko na posłaniu i dowiaduje się, że rycerz, od Karola przysłany, żąda z nim mówić natychmiast.

IV.

Poseł królewski.

I znów w wielkiej sklepionej sali zasiada książę na wysokim dębowym krześle. Twarz jego, świeżą wodą kryniczną obmytą, nie nosi śladów znoju i niewczasu; przeciwnie, rumieńcem się kłasi, a oko poważnie i spokojnie we drzwi utkwione. Po chwili otworzyły się ciężkie podwoje, wprowadzono rycerza w zbroi misternie kowanęj i złotem przyozdobionej łuskami. Był to jeden z Niemców otaczających już podówczas Karola; hardy, zacięty i znany oddawna, jako nieprzyjaciel Bolesława i całego Piastów rodu.

— Czołem wam, mości książę!

— Witajcie, zacny baronie; jakąż nam wieść przyniosicie od pana waszego? — odrzekł książę, wskazując stołek, zawczasu już dla gościa przygotowany, naprzeciw książęcego tronu.

Gniewnym okiem rzucił Niemiec na to skromne siedzenie i na Bolesława, z góry, chociaż spokojnie nań spoglądającego, ale usiadł i w te rozpoczął słowa:

— Król i pan nasz wam, lennikowi swemu, śle pozdrowienie...

— Niechże z pozdrowieniem zaczeka, aż będzie miał lennika! — przerwał żywo Bolesław, oburzony tym wstępem.

— Przecie od lat wielu sam krewniak wasz a król polski przelał prawa swe *) na koronę czeską i właśnie upór wasz, mości książę, w uchylaniu się od obowiązków lennika, skłonił króla i pana mego do skarcenia surowego zuchwałości waszej...

— Czego dowód mieliśmy tej nocy — przerwał znów szydersko Bolesław. — Zmieńcie ton, mości baronie — dodał — inaczey bowiem będziecie zmuszeni wrócić do pana waszego z prośbą, by kogoś innego, więcej okrzesanego, w mowie przynajmniej, na miejsce wasze przysłać tu raczył.

Zacisnął pięści Niemiec i o mało się już ze stołką nie porwał, ale miarkując złość swą, ciągnął dalej swoje poselstwo.

— A więc, wielki Bolesławie, książę na Świdnicy i Jaworzu! pan mój, Karol, król czeski, wzywa was, abyście niezwłocznie, bez broni i z głową odkrytą do obozu jego przybywszy, okazali skruczę za dotychczasowy wasz upór, i złożywszy królowi hołd, w obec zgromadzonego tu rycerstwa, potem w sposobniejszej chwili w Pradze ponowić akt ten powinny przybyli.

— Jeszcze Bolko na Świdnicy przed żadnym śmiertelnikiem kolan nie ugiął; wolno zrodzony na

swęj ziemi, nikogo za pana nie uznaje i dziwi się, że król wasz, sam będąc szlachetnym rycerzem, w innych tej dumy szlachetnej uszanować nie umie, sprowadzając kłeski na lud niewinny i bez potrzeby krew przelewając. To moja odpowiedź, mości baronie, którą królowi odnieście.

— Król i pan mój jeszcze do zachodu słońca chwilę namysłu wam zostawia, inaczey spotka was kara należna.

— Dość tej mowy! — zawołał już gniewnie Bolesław — o wschodzie, czy o zachodzie słońca, zawsze ja i rycerze moi gotowi jesteśmy na przyjęcie wasze, témbardziej, że więcej zamaszystości w języku niż orężu waszym okazujecie, jakeśmy się świeżo przekonali.

I tu, klasnąwszy w dłonie, odezwał się do wchodzącego po chwili rycerza:

— Posła królewskiego do bram odprowadzić.

Nie pozostawało nic innego chmurnemu Niemcowi, jak sałę opuścić, co też uczynił, zagryzając wargi z gniewu.

V.

Zgubiony pierścień.

Tymczasem robotnicy, pracujący bez przerwy nad naprawieniem wyłomów, w murze zrzadzonych taranami czeskiemi, zmieniają się bez przerwy i robota raźnie postępuje, ale daleko jeszcze do jej ukończenia, choć słońce na widnokręgu zniżyć się poczyną. Książę sam obchodzi wszystkie zakątki Świdnicy, wydaje rozporządzenia, zwraca się do robotników ze słowem zachęty, naradza się ze starszymi rycerzami, a wreszcie kieruje kroki swe do podziemi, w których zamknięto jeńców, w czasie nocnej wyprawy z obozu Karolowego zabraných.

Hanulka znów z nieodstępną Bogną udała się do wielkiej świetlicy, gdzie zniesiono rannych. Lekkim krokiem postępując, drobną lecz wprawną rączką opatruje rany, zarówno rodaków, jak i nieprzyjaciół, wlewa w usta słabszych napój krzepiący; niektórych wreszcie do osobnej izby przenosić każe. Wszyscy patrzą na tę drobną postać, jak na anioła z niebios zesłanego; ów jęk boleści przytłumia, co mu się z piersi dobywał, inny błogosławieństwem dziękuje za przyniesioną sobie ulgę.

Pomiędzy rannymi jeńcami znajdował się rycerz czeski; bogata jego zbroja i hełm, wspaniałym ozdoby pióropuszem, zdradzały jednego z możniejszych panów królestwa. Chociaż osłabiony obfitym krwi wpływem z prawego ramienia, które mu bezwładnie na posłaniu spoczywa, wsparłszy się drugą ręką na łokciu i zmęczoną podtrzymując głowę, wodzi okiem za każdym ruchem księżniczki.

*) W roku 1335 Kazimierz W. przelał prawa swe do Śląska na rzecz czeskiej korony; za to król czeski rzekł się pretensyi swych do tronu polskiego.

Widocznie chce coś przemówić i lęka się; wreszcie, gdy go na rozkaz Hanulki zaniecono do przyległej, mniejszej, lecz zaciszniejszej izby, odezwał się głosem cichym, płynną i czystą mową niemiecką:

— Pani! czy jesteś kobietą, czy aniołem z błękitnego nieba, pozwól mi słów kilka przemówić do ciebie, bo zdaje mi się, że jakieś widzenie wzrok mój olśniewa. Patrzę, a ciągle mi się zdaje, że już miał szczęście oglądać cudne oblicze wasze: czy we śnie, czy na jawie? sam nie wiem.

W tej chwili, czy to z wysilenia przy dłuższej mowie, czy ze wzruszenia, krew z przewiązanej świeżo ręki znów się sączyć zaczęła i Hanulka z pomocą piastunki zająć się musiała umocowaniem przewiązek, przemawiając przytęm w te słowa:

— Uspokójcie się, panie rycerzu, i nie zatrudniajcie znużonej głowy waszej próżnemi myślami. Mogliście łatwo widzieć mię, ponieważ rok cały byłam w Pradze i sama kilkakrotnie męznego króla waszego ze świtą jego całą oglądałam.

— Ach! więc to wy możel... — zawołał ranny rycerz, zrywając się prawie na posłaniu i zapomniawszy o zaleconej sobie spokojności. — Wy pewno, coście rzucili uroki jakieś na pana i króla naszego?

— Co mówicie — szepnęła księżniczka zarumieniona, szybko się cofnąwszy i z przerażeniem nieledwie patrząc w twarz rycerza.

— Nie, cudna pani, nie bójcie się, to nie gorączka przezemnie mówi. Właśnie przed kilku miesiącami, gdy się w Pradze obchodziła uroczystość poświęcenia świetnej wszechnicy naszej, król, pośród tysiąca głów, schylających się z okiem w chwili, gdy z Chramu (świątyni) wychodził, postrzegł jakąś złotowłosą dziewczę, której błękitne, łąz zamglone oko, tak mu w duszy i sercu utkwiło, że jej dotąd zapomnieć nie może. Próżno za rozkazem monarchy przeszukaliśmy wszystkie kamienice i domy w Pradze, nigdzie ani śladu owej złocistej gołębicy, jak ją król nazwał, nie mogliśmy znaleźć. Tylko w chwili, gdy z rąk jej padała wiązanka kwiecica pod stopy monarchy, zabłysnął zarazem mały złoty pierścionek, który się widocznie z palca jej zsunął, i ten podniósłszy, Karol włożył na serdeczny palec, mówiąc żartobliwie, że mu spadł z nieba, które mu też zapewne i narzeczona ześle. Odtąd, choć z różnych dworów swatają panu narzeczone, najznakomitsze księżniczki, on zbywa wszystkie te zabiegi niczem, powtarzając na pół żartem, że jest już zaręczonym.

Podczas tego opowiadania rycerza, Anna narzeczona płonęła się i bladła, odzyskując jednak panowanie nad sobą, rzekła na pozór spokojnie:

— Piękną mi rzecz opowiedzieliście, panie ry-

cerzu, ale teraz spocznijcie w osłabieniu waszem; za chwilę przysię wam napój, który kojąc ból wasz, sen cichy sprowadzi, a teraz bywajcie zdrowi! — i lekko wysunęła się z komnaty, skinąwszy na piastunkę, która z chmurnem czołem przysłuchiwała się, jak ukochana jej pani w nieznaną, nie ludzką, jak utrzymywała mowie, z obcym rycerzem się porozumiewa.

— Pamiętacie, nianiu — odezwała się Hanulka, wszedłszy do swęj komnaty — jakem płakała po zgubie pierścionka, co mi został najmilszą po matce pamiątką?

— Ach, pamiętam, gołabeczek; chodziłam nawet do wróżki, żeby nam pomogła w odszukaniu tej straty, ale odpowiedziała, że ten, kto ci szkodę zwróci, będzie żądał w zamian drogiego okupu i za złoto życiem zapłacić każe.

— Prawda, nianiu; dodała jeszcze wróżka: „Zkąd słońca promienie, zkąd rzeki fale, ztąd i pierścień przypłynie, ale nie w rzece i nie w słońca promieniu, lecz w skrzydle orlém lub w krogulca szponach”. — A pierścień się dotąd nie znalazł.

— Zkądżeś teraz o nim pomyślała, lubko ty moja?... Ale dość już tego, chodź, spocznij, bo się oczy twoje przez noc całą do snu nie zawarły.

I ułożyła gołabeczkę swoją w białém łóżeczku, a sama zdrzemnęła się, siedząc u jej wezgłowia, na kobiercu, ceglana podłogę okrywającym.

VI.

Mur żywy.

Słońce ku zachodowi się skłania i blask czerwony rzuca na zamkowe wieżycy. Wyłom w murze do połowy ledwie zasypany, a tu po zielonej równinie od lasu pędzą zastępy czeskich rycerzy. Ziemia tętni pod kopytami, trąby grają do ataku, a Karol na czele, z mieczem dobytym; za nim jak las jeżą się dzidy i błyszczą oszczepy jego rycerzy. Wszyscy pałają widać chęcią pomszczenia nocnej porażki. Z wiatrem powiewają różnobarwne sztandary, a cały zastęp pędzi ku stronie, gdzie mury najsłabsze. Nagle Karol miecz do góry podnosi i wszyscy stanęli jak w ziemię wryci, niby za uderzeniem laski czarnoksiężnika: oczy ich utkwiły z przerażeniem w jeden punkt, bo też było się czego przerazić.

Na murach twierdzy, w miejscu właśnie, gdzie wyłom nawpół ledwie naprawiony przedstawiał najkorzystniejsze miejsce do ataku, stoją szeregiem, z powiązanymi w tył rękami, jeńcy, których w ostatniej wycieczce Bolko w niewolę uprowadził. Blade ich twarze zdają się błagać litości; odkryte piersi pierwsze się narażają na ciosy oblegających.

Tym żywym szańcem osłonić się musiał książę świniaki od przemożnej wrogów siły!

Czesi pobledli, widząc swych towarzyszków i krewnych, możnych grafów i baronów z najbliższej królowi drużyny, powiązanych jak na rzeź i śmierci z bratniej ręki wyczekujących. Karolowi wydarł się z piersi stłumiony okrzyk przerażenia i grozy, chwilę zatrzymał się nieruchomy na czarnym swym rumaku, jakby w ziemię wrosły, wreszcie dał znak!... Zagrały trąbki do odwrotu i zastęp cały zwolna zwrócił się ku obozowi i oddalił się, ozłocony ostatnimi promieniami zachodzącego słońca.

I znów przez dni kilka cisza panuje. Wysłańcy od króla idą do zamku i wracają, ale dotąd bezskutecznie. Umówiono wreszcie spotkanie obu przeciwników, oko w oko, w obozie królewskim.

(D. n.).

RYBOŁÓW *).

Rybołów, *Falco haliaetus*, zbliżony bardzo do sokołów, jest jednym z największych ptaków tej rodziny, ma około dwóch stóp długości od dzioba do ogona i skrzydła tak długie, że cały ze sześć stóp wynosi. Pióra jego są ciemno-brunatne, barwa to właściwa większej części sokołów; brzuch tylko ma jaśniejszy, prawie biały, dziób i nogi ciemno-błękitne, a oczy pomarańczowe. Ptak ten przebywa prawie we wszystkich krajach amerykańskich, gdzie tylko jest obfitość wód zarybionych, gdyż żywi się wyłącznie rybami. Pospolitszy jest na morskich wybrzeżach, niż w głębi lądu, ale i tu napotkać go można wszędzie, zwłaszcza w okolicy większych jezior, jak tylko woda rozmarznie na wiosnę. Najrzadziej pojawia się nad bagnistymi rzekami, gdyż trudniej w nich zdobyć dopatrzeć może.

Rybołów jest ptakiem wędrownym, na zimę odlatuje do stron cieplejszych, głównie na wybrzeża odnogi Meksykańskiej, gdzie zbierają się wielkie gromady tych ptaków i czatują na ryby. Wczesnie z wiosny powracają na północ i ukazują się na brzegach oceanu Atlantyckiego, a rybacy z wielką radością witają ich przybycie, wiedzą bowiem, że wraz z niemi nadciągają zazwyczaj liczne gromady śledzie, alosy i inne ryby wędrowne, których oczekują z upragnieniem.

Rybacy mają wielkie poszanowanie dla rybołowa, żaden z nich nie zastrzeli tego ptaka, choćby mu nawet rybę z przed nosa sprzątnął; poczuwają

się dla niego do pewnych koleżeńskich względów. Jeżeli czasem mieszkanie nadbrzeżny doń wymierzy, biorąc go za myszołowa, lub innego ptaka z rodziny sokołów, natychmiast broń opuszcza, jak tylko pomyłkę swoją spotrzeże. Ta szczególna życzliwość dla rybołowa pochodzi także z tego przekonania mieszkańców, że ptak ten, który sam nigdy nie chwytą kur, kaczek, i żadnego ptactwa domowego, odpędza od mieszkań ludzkich jastrzębie, sokoły i inne drapieżne ptaki, wyrządzające szkody tego rodzaju. W Ameryce rybołów może najbezpieczniej gnieździć się przed drzwiami rybaka lub rolnika, nikt mu nie przeszkodzi i najmniejszej krzywdy nie wyrządzi. Samiec rzadko sam w gnieździe siedzi, lecz zaopatruje towarzyszkę swoją w ryby przez cały czas wysiadywania piskląt. Niedziw, że ptaki te, taką opieką otoczone, rozmnażają się więcej od innych drapieżnych gatunków i gnieźdzą się wszędzie swobodnie w pobliżu wód. Często napotkać można po dwadzieścia i trzydzieści gniazd, jedno obok drugiego; na małej wysepce naliczono raz około trzystu.

Rybołowy budują swoje gniazda na wysokich drzewach, nie na samych wierzchołkach, ale na wynioślejszych konarach; urządzają je z gałęzi i wyściełają słomą, trawą, mchem i wodnymi roślinami. Gniazda te są ogromne i w przerzedzonych lasach widać je zdaleka, témbardziej, że zawsze są budowane na zeschłych drzewach, ogolonych z liści. Niektórzy utrzymują, że ptaki umyślnie wybierają zeschłe drzewa, ale któż wie, czy to nie gniazda raczej przyczyniają się do zniszczenia drzew. Ptaki znoszą tam niezmierną ilość żywności, a resztki zgniłych ryb, razem z odchodami ptaków, nagromadzają się w wielkie stosy ponad korzeniami drzewa. Trzeba wiedzieć, że rybołów nigdy nie podnosi ryby, gdy ją przypadkiem z gniazda upuści, ale woli lecieć po inną zdobycz.

Najswawolniejszy chłopak nie odważy się nigdy wydierać jaj z gniazd rybołowów, bo wie, że to niełatwa sprawa; drapieżny ptak wyklułby mu oczy, jak nie, albo skórę poszarpał na twarzy; więc i to niebezpieczeństwo nie grozi gniazdom rybołowów. Opowiadają zabawne zdarzenie pewnego murzyna, który chciał wydrzeć jaja tych ptaków. Zastał on w gnieździe samca i samicę, oboje zażarcie się na niego rzucili, a samiec długie szpony zapuścił w kędzierzawą czuprynę murzyna i tak się w nią uplątał, że w żaden sposób wydobyć się ztamtąd nie mógł. Przestraszony murzyn spuścił się z drzewa, niosąc na głowie tego napastnika i pozbył go się dopiero, obcinając część bujących swych kędziorów. Nie ręczymy za wiarygodność tej powiastki, ale nie w niej niema niepodobnego, wiadomo bowiem, że rybołowy bronią gniazd

*) Jest to ustęp z dzieła Mayne-Reida, pod tytułem *Młodzi Żeglarze*.

swoich z wielką odwagą i zjadłością, widziano też nieraz ludzi, którzy się na nie porywali, srodze okaleczonych.

Ptaki te, jak wspominaliśmy, żywią się wyłącznie rybami. Nigdy nie napadają innych ptaszków lub drobnych czworonożnych zwierzątek, nawet w braku zwykłego swego pokarmu, co czasem się przytrafia, gdy jeziora i rzeki wcześniej niż zwykle zamarzają w jesieni. Drobne ptactwo gnieździ się nieraz na tej samej gałęzi, a rybołów nie wyrządza tym słabszym sąsiadom najmniejszej krzywdy, czém właśnie wyróżnia się wybitnie od innych drapieżnych ptaków. Nogi jego mają kształt szczególny, wybornie zastosowany do sposobu życia; są bardzo długie i silne, w dolnej części zupełnie pozbawione pierza. Palce są także niezmiernie wydłużone, pod spodem pokryte grubemi i twardemi łuskami, to też ptak z łatwością utrzymać w nich może śliską swoją zdobycz. Szpony długie, zakrzywione, mają końce ostre, jak szpilki.

Młodzi żeglarze mieli sposobność przypatrzeć się bliżej osobliwym tym ptakom. Było to pewnego wieczora, w sobotę; chłopcy rozłożyli obóz, w którym mieli spędzić następny dzień niedzielny. Usadowili się na małym wzgórzu, wchodzącem w rzekę nakszałt przylądka, z kąd rozległy widok odślaniał się na całą okolicę. Tuż obok obozu swego spostrzegli gniazdo rybołowa na wysokiej topoli. Drzewo było zeschłe, jak zwykle, a z gniazda wyglądały spore już pisklęta, wypasione i opierzone. Trzeba wiedzieć, że młode rybołowy pozostają w gnieździe, pod troskliwą opieką matki, dłużej daleko od innych piskląt. Powiadają nawet, że samica wychodzi czasem z cierpliwości i wyrzuca je z gniazda na ziemię, żeby sobie same radziły. Nasi młodzi podróżnicy słyszeli już o tém dawniej, ale nie bardzo temu dowierzali. Tymczasem wkrótce przekonać się mieli naocznie o prawdziwości tego podania.

Gdy młodzieńcy usadowili się pod drzewem, para starych ptaków zaczęła zrazu krążyć niespokojnie dokoła obozu, krzyząc i bijąc skrzydłami, potem jednak, przekonawszy się zapewne, że nowoprzybyli nie mieli żadnych złych zamiarów, oboje ucichli i powrócili do gniazda. Następnie samiec zerwał się i zaczął krążyć wysoko ponad wodą, a po chwili i samica puściła się za nim. Ruchy tych ptaków są nadzwyczaj zręczne i zwinne. Czasem rybołów zawisnie nieruchomo w powietrzu, to znów zaczyna się obracać szybko na jednym miejscu, jakby na śrubie i nagle unosi się dalej, a wszystko to tak lekko, że trudno dopatrzeć uderzenia skrzydeł.

Chłopcy przyglądali się z upodobaniem, jak jeden z ptaków, rozłożywszy skrzydła szeroko, za-

wisnął nisko ponad wodą i w jeden punkt się wpastrywał. Zapewne spostrzegł tam rybę, ale musiała być, albo za wielką, albo z jakiegoś niesmacznego gatunku, może też zbyt głęboko płynęła, aby się dała pochwycić, znów więc rybołów wzbił się w powietrze i począł krążyć w koło. Wtém nagle lot swój wstrzymał i jak strzała spuścił się w dół. Lecz nim dosięgnął powierzchni wody, rybka dostrzegła zbliżającego się wroga i zanurzyła się głęboko, a rybołów, zawiedziony, musnął wodę skrzydłami i znowu uleciał w powietrze.

Tak spudłowawszy parę razy, samica, gdyż ona to była, odznaczająca się od samca dłuższemi skrzydłami, zaniechała dalszego połowu i powróciła do gniazda. Odpocząwszy chwilę, zaczęła się żywo poruszać i ku wielkiemu zdziwieniu naszych chłopców, rozłożyła skrzydła i biła niemi pisklęta raz po raz, widocznie chcąc je zmusić do opuszczenia gniazda. Gdy raz i drugi nie udało jej się ułowić dla nich ryby, musiała się zastanowić nad tém, że mogły już przecież i same się potrudzić trochę, zamiast spuszczać się ciągle na matkę. Cokolwiekby, póty je tłukła i wypychała, aż biedne pisklęta rade nie rade wyniosły się z gniazda i odleciały w stronę rzeki.

W tejże samej chwili samiec spuścił się w wodę, uchwycił wielką, piękną rybę i uniósł ją w szponach, a spostrzegłszy jedno ze swoich piskląt, podleciał i podał mu tę zdobycz. Młody rybołów pochwycił zręcznie rybę ze szponów ojcowskich i odleciał do poblizkiego drzewa, a usiadłszy wygodnie na gałęzi zaczął smacznie zjadać. Drugie pisklę, dwoje ich tylko było, pośpieszyło natychmiast w tę stronę i rodzeństwo podzieliło się zgodnie otrzymaną żywnością, a nasyciwszy się, powróciło razem do gniazda. Oboje rodzice czekali tam na nich i powitali głośnym krzykiem, winszując zapewne, że pierwsza wycieczka tak im się szczęśliwie powiedła.

Posiedziawszy przez czas jakiś w rodzinném kółku, stary samiec wybrał się znowu na połów ryb i rozwinąwszy skrzydła, zaczął krążyć ponad rzeką. Młodzi żeglarze, nie mając nic lepszego do roboty, pilnie śledzili wszystkie jego poruszenia, a jeden z nich, znający dobrze historią naturalną, opowiadał różne ciekawe wiadomości o życiu i obyczajach tych ptaków. Mówił więc, że rybołowy żyją także i w Europie, krążą gromadami ponad morzem Śródziemném i łowią ryby tak samo, jak i w Ameryce. We Włoszech nazywają rybołowa ołowianym orłem, gdyż spuszczać się szybko w wodę, wygląda jak spadająca kula ołowiana.

Tak rozmawiając, widzieli, jak rybołów parę razy musnął powierzchnią wody i odleciał z ni-



Rybołów (str. 791).

czem; widocznie rybka zwinniej jeszcze od niego zanurzyła się i umknęła. Ryby muszą czujnie spoglądać w górę i wiedzą z doświadczenia, że im największe grozi niebezpieczeństwo, nie zawsze jednak zdołają go uniknąć. Ptak krążył ciągle, na chwilę zawisnął w powietrzu nieruchomo i nagle, zwinawszy skrzydła, jak strzała wpadł w wodę. Chłopcy nie spuszczaali go z oczu, był tak blisko, że słyszeli świst skrzydeł w powietrzu, potem plusk wody, która trysnęła wysoko, a ptak zanurzył się całkowicie i tylko piana biała zakłębiła się w miejscu, gdzie zniknął im z oczu. Lecz parę sekund zaledwie upłynęło, a już szerokie skrzydła znów wynurzyły się z wody i rybołów uniósł się w powietrze, niosąc w szponach wielką i piękną rybę. Chłopcy zauważyli, że ją trzymał za ogon, wnosili ztąd, że rybołów zachodzi rybę z tyłu i podstępnie ją chwytą.

Wzniósłszy się do pewnej wysokości, ptak strzepnął skrzydłami, tak zupełnie, jak pies, gdy wyjdzie z wody, potem skierował lot swój do gniazda. Ale gdy zbliżał się do drzewa, zdawał się niespokojny, lub roztargniony, zatrzymał się na gałęzi, oglądał się i kręcił, a ryba wysliznęła się z jego szponów i spadła na ziemię.

Było to bardzo pomyślne zdarzenie dla naszych żeglarzy. Jeden z nich dnia tego napróżno zapuszczał wędkę po kilka razy, nie mógł ułowić najmniejszej rybki, gratka ta w samą porę im się przytrafiła. Dwaj młodsi poskoczyli śpiesznie, chcąc uprzedzić ptaka, sądzili bowiem, że zleci z drzewa po swoją zgubę, ale starszy ich uspokoił, upewniając, iż rybołów nigdy nie podnosi z ziemi tego, co raz upuścił. Słyszając to, chłopcy zwolnili kroku i w rzeczy samej zabrali rybę bez żadnej przeszkody, ale potem uciekli coprędzej, bo kupa zgniłych resztek, leżących pod drzewem, zatruchiwała powietrze obrzydliwymi wyziewami. Świeża ryba za to przepysznie wyglądała, był to ogromny łosoś, musiał ze sześć funtów ważyć, zapewne więcej od samego ptaka. Miał na sobie głębokie ślady szponów rybołowa i łatwo było poznać po tych śladach, że był pochwycony z tyłu. Ptaki zaczęły wrzeszczeć przeraźliwie, widząc, jak chłopcy unosili ich zdobycz, ale ponieważ w każdym razie same się jej wyrzekły, uciekły wkrótce i znów wybrały się nad wodę.

— Co też one tych ryb muszą wyławiać codziennie — rzekł najmłodszy z podróżników — widocznie dobry mają apetyt, a połów znakomicie im się udaje. Patrzcie, patrzcie! już znowu!

Gdy to mówił, samiec spuścił się w wodę i zaledwie dotknawszy szponami jej powierzchni, unosił w nich małą rybkę.

— Nie zawsze też dla siebie tylko pracują — odezwał się starszy — czasem orzeł bosi...

I urwał nagle, gdyż w tejże samej chwili dał się słyszeć głos przeraźliwy, który wszyscy poznali odrazu. Był to właśnie ów drapieżnik, stawiał się, jakby na zawołanie. Wszystkie oczy zwróciły się w tę stronę, ząd się krzyk odezwał i wnet ujrzało, jak z wierzchołka wielkiego drzewa odezwał się zawzięty prześladowca rybołowa, straszliwy orzeł bosi czyli białogłowy.

— Ho, ho! — krzyknął jeden z chłopaków — nie obejdzie się tu bez bitwy, to rabuś, co się zowie.

I wszyscy pilnie śledzili poruszenia obu ptaków. Orzeł szybko przybliżał się do rybołowa, a ten, czując, że nie potrafi już ryby donieść do gniazda, zaczął umykać w inną stronę. Orzeł puścił się za nim, bijąc ogromnemi skrzydłami w powietrzu, dalej leciała samica rybołowa, krzycząc przeraźliwie, ażeby uwagę orła odwrócić, ale darmo się wysilała, orzeł się nie wstrzymał i wszystkie trzy ptaki pędziły jeden za drugim. Aż w końcu rybołowy wzniosł się w górę i znikł prawie z oczu naszym żeglarzom, a orzeł wnet podążył za nim; chłopcy widzieli tylko po chwili, jak coś spadło nagle z góry i plusnęło w wodzie, a orzeł szybko się spuszczać zaczął. Nim jednak ptak dosięgnął powierzchni rzeki, zatrzepotał skrzydłami, wrzasnął przeraźliwie, jakby ze złości, niespodzianie wzniosł się znowu w górę i odleciał na drzewo, z którego niedawno się zerwał. Po chwili para rybołowów powróciła także do gniazda i rozpoczęła się hałaśliwa narada, a piskłeta mieszała do niej swoje wrzaski, potakując rodzicom.

— Nie pojmuję jednak — rzekł jeden z młodych żeglarzy — dla czego orzeł nie pochwycił ryby? Zwykle ją łapie w powietrzu, chyba mu przeszkodziła samica rybołowa.

— Ale czemu jej z wody nie porwał? — zapytał drugi.

— Bo musiała pójść na dno i nie mógł jej dosięgnąć, to rzecz prosta.

— Co za wstyd — mówił pierwszy — żeby rybołów, daleko mniejszy od tego ogromnego rabusia, musiał na niego pracować.

— Nieraz już oburzano się na orły bosi — mówił brat starszy, — że tak wyzyskują te biedne rybołowy; ale trudno im się dziwić, bo z potrzeby nakładają ten haracz na mniejszego ptaka. Zapytacie może, czemu same ryb nie łowią? łatwo na to odpowiedzieć. Przekonałicie się, że ryby nie zawsze dają się pochwycić na powierzchni wody, rybołów często musi się zanurzyć i gonić je pod wodą; jemu to z łatwością przychodzi, bo ma do tego wrodzoną zdolność, na której orłom zby-

wa. Nie mogąc sobie sam dać rady, orzeł wydiera zdobycz słabszemu a zręczniejszemu. Czasem jednak i on łowi ryby, gdy woda w rzece opadnie, lub gdy spostrzeże nieostrożną rybkę na powierzchni.

— Czy orzeł może zabić czasem w tej walce rybołowa?

— Nie sędzę; pocóżby go miał zabijać, woli haracz z niego ściągać. Ale widziano jak rybołowy zbierały się gromadami, napadały i zagryzały orły bose.

Tu znów niespodziewane zdarzenie przerwało rozmowę. Rybołowy, chcąc sobie wynagrodzić poniesione straty, wybrały się znowu na połów i wkrótce jeden z nich pochwycił zręcznie rybę i szybko z nią odlatywał, gdy orzeł, spostrzegłszy to, zerwał się i pogonił za nim. Rybołów, napadnięty z nienacka, dał odrazu za wygraną i wypuścił zdobycz z potężnych szponów. Orzeł podleciał szybko i w powietrzu ją pochwycił. Potem, zadowolniony zupełnie, rozwinął skrzydła i odleciał na drugą stronę rzeki, gdzie znikł pomiędzy drzewami. Rybołów, poddając się smutnej konieczności, z którą zresztą musiał być oswojony, począł znów krążyć nad rzeką.

Ale po chwili inny widok, daleko dziwniejszy, zwrócił na siebie uwagę naszych żeglarzy. Samica, która dziś jakoś nie miała szczęścia, wybrała się raz jeszcze na połów i spuściwszy się w wodę, głęboko się w nią zanurzyła. Fale, jak zwykle, pluśnęły, a chłopcy wlepili wzrok w to miejsce, wyglądając ukazania się ptaka. Lecz jakież było ich zdumienie, gdy minęło kilka sekund, wreszcie kilka minut, a ptaka, jak nie było, tak nie było. Samica rybołowa znikła w wodzie i nie wynurzyła się więcej. Woda w tym miejscu pieniała się przez chwilę, potem fale rozchodziły się w kręgi coraz szersze, aż wkońcu powierzchnia rzeki się wyrównała. Trudno było pojąć, co się stało z ptakiem, nie mógł przecież odlecieć niepostrzeżony. Gdzież się więc podział? Młodzi żeglarze nie przestali o tym rozmawiać przez cały wieczór, a i dnia następnego powtarzali jeszcze toż samo pytanie. Nawet przyrodnik nie umiał tej zagadki rozwiązać. W żadnej historii naturalnej nie natrafił na opis podobnego wypadku w życiu rybołowa. Czyżby miał utonąć? albo może go jaka drapieżna ryba pożarła? Czy rozbił sobie głowę o skałę podwodną lub zaplątał się w wodorosty.

Wszystkie te pytania pozostawały jednak bez odpowiedzi; przypadek dopiero miał wykryć prawdę. Opisane zdarzenie zaszło w sobotę, młodzi żeglarze cały dzień następny spędzili w tym samym obozie. Osierocony samiec nie przestawał nawoływać żałośnie towarzyszeki, on także zapewne

nie wiedział, co się z nią stało. W poniedziałek z rana żeglarze nasi spuścili łódkę na rzekę i odpłynęli dalej. Nie myśleli już o rybołowach, gdy dziwny przedmiot, płynący po wodzie, wzrok ich uderzył. Skierowali łódkę w tę stronę; była to wielka ryba, jesiotr, unosiła się na powierzchni wody, bo była nieżywa i wlokła za sobą równie nieżywego ptaka. Przypatrując się bliżej, spostrzegli, że szpony ptaka ugrzęzły w grzbiecie ryby, poznali odrazu samicę rybołowa! Wszystko więc było wyjaśnione. Nieboga porwała się na rybę zanadto ciężką na jej siły, a nie mogąc szponów z niej wydobyć, zginęła pod wodą wraz ze swą ofiarą.

Przygody młodych podróżników

NAOKOŁO ŚWIATA.

(Dalszy ciąg).

Nikt nie zdoła przewidzieć swojego przeznaczenia; najmniejszy może się stać największym, a czas wszystko zmienia i przekształca na świecie."

Nie potrzebujemy zapewne objaśniać czytelnikom naszym, że bajeczka ta, pomimo pięknego moralnego sensu, osnuta jest na fałszywym pojęciu. Perły nie powstają z kropelek wody. Ale nikt nie będzie szukał prawdy naukowej w bajce wschodniej.

Tymczasem młody Uzbek przepisał sobie ten utwór swojego ojca i często go odczytywał. Powoli zaczął się otrzasać ze swojego smutku, uczył się pilnie, pracował nad sobą, a ponieważ miał zdolności niepospolite, wkrótce zasłynął jako biegły i umiętny mechanik i budowniczy. Miał zaledwie dwadzieścia lat, gdy powierzono mu ważne roboty w stolicy, między innemi zbudowanie kamiennego mostu i urządzenie wspaniałego wodotrysku przed pałacem kalifa. Dwa te arcydzieła stały się dla niego źródłem bogactw i zaszczytów. Wkońcu mianowano go ministrem robót krajowych w Persyi.

Uzbek podróżował przez lat kilka w różnych stronach świata, dla kształcenia się w swoim zawodzie, zwiedził też i Europę, a pobyt w pięknych miastach europejskich pozostawił mu bardzo miłe wspomnienia; pokochał szczególnie mieszkańców gościnnej Francji. Gdy więc dnia pewnego dowiedział się przypadkiem, że dwóch młodych Francuzów przybyło do Ispahanu, zaczął się o nich dopytywać z wielkiem zajęciem. Powiedziano mu, że młodzieńcy ci są znużeni długą podróżą, która wyczerpała wszystkie ich pieniężne

zapasy, że zaledwo mogli zapłacić za nocleg i skromny posiłek w najnędźniejszej gospodzie.

— Któż śmie utrzymywać, że ci Europejczycy są na niedostatek wystawieni, gdy wszystkie bogactwa Uzbeka są na ich rozkazy? — rzekł wspaniałomyślny Pers i natychmiast wydał rozporządzenie, aby jeden z pałaców jego przygotowano na przyjęcie gości. I oto w tym pałacu spotykamy dwóch naszych przyjaciół.

Oczekując zapowiedzianych odwiedzin Uzbeka, Robert i Henryk przechadzali się po ogrodzie i rozmawiali o przygodach, które przeżywali w ostatnich czasach.

— Pamiętasz — mówił Robert — jaka to przykra była chwila, gdyśmy się dowiedzieli o niepojętym zniknięciu Jakóba i Marka. Nie chcieliśmy nawet odpocząć, ale puściliśmy się dalej na śpienionych naszych rumakach. Chcieliśmy zrazu powracać do Suez, ale jak tu puszczać się w taką podróż, przez piaszki pustyni, we dwóch tylko i bez przewodnika? Pomimo całej odwagi, której dowody złożyliśmy przecież niejednokrotnie, nie mogliśmy o tém myśleć. Aż tu, zbliżając się do przystani, spostrzegamy mały statek z flagą włoską, odpływający właśnie pod żagiel. Mieliśmy tyle tylko czasu, aby wskoczyć w łódkę i dogonić statek na pełnem morzu. Kapitan przyjął nas bardzo grzecznie i zapytał, do jakiego portu dostać się chcemy.

— Popłyniemy, gdzie ci się podoba, kapitanie.

Ta odpowiedź tak go ubawiła, że już o nic więcej nie pytał i zabrał nas z sobą bez żadnej trudności. Nie pamiętam, ażebym kiedy w życiu żeglował po takim burzliwem morzu. Szalone wichry podrzucały naszym okręcikiem, jak piłką, co chwila mi się zdawało, że się roztrzaska, jak wąż skorupa, aż wkońcu ustała nawałnica i statek zarzucił kotwicę, a my ujrzelśmy przed sobą nagie, skaliste wybrzeże.

— To Aden! — zawołał kapitan.

— A więc wysiadzmy w Adenie — rzekliśmy obaj i wkrótce przechadzaliśmy się po tém mieście, zbudowanem na wygasłym wulkanie.

— Na mnie Aden ponure jakieś wywarł wrażenie — odezwał się Henryk — nawet piaszczysta pustynia nie wyglądała w oczach moich tak dziko, jak ta skała ogołocona, gdzie nie widać nigdzie ani strumyczka, ani drzewa, ani nawet zieloności lub kwiecia. Aden, jak powiadają, zamieszkały był dawniej przez nieliczną gromadkę Arabów, ale to wybrzeże, tak upośledzone przez przyrodę, zwróciło na siebie uwagę potężnego państwa europejskiego. Anglia upatrzyła w położeniu téj przystani niepospolite korzyści dla siebie. Aden jest wyborną stacją dla okrętów handlowych i wojen-

nych, żeglujących z Anglii do Indyj. Przezorni Anglicy opanowali tę dziką skałę, używając do tego pieniędzy i różnych sposobów, pobudowali na niej silną twierdzę, zbrojownię, hotele i domy mieszkalne, a mnóstwo awanturników z całego świata zaczęło się tam osiedlać pod opiekę Anglii. Miasto nadzwyczaj jest ożywione, w porcie uwijają się nieustannie liczne okręty różnych narodowości, po większej części kupieckie. Można tam widzieć wszelkie bogactwa Wschodu: perły, kość słoniową, złoto, jedwabie i perły najpyszniejsze, kwiaty i owoce zwrotnikowe. Magnaci perscy i indyjscy przechadzają się po wybrzeżu obok ubogich Beduinów pustyni, a niebrak i rabusiów zręcznych i chytrych, którzy umieją szybko się załatwić z niedoświadczonym podróżnikiem. Ach, Robercie! i my także przeszliśmy przez ich ręce. Pamiętasz, jak pocziwie i niewinnie wyglądał ten człowieczek, który się zbliżył do nas, gdyśmy tylko na ląd wysiedli, a z jaką uprzejmością do nas przemawiał:

— Panowie zapewne nie znacie naszego miasta? Ja jestem tutejszy i najchętniej będę waszym przewodnikiem. Pokażę wam wszystko, co tylko warte widzenia.

Od téj pory postanowiłem nie ufać ludziom, którzy zanadto się narzucają ze swoją grzecznością. Tacy zazwyczaj mają w tém własny jakiś interes, a często i złe zamiary. Człowiek ten podawał się nam za Hiszpana; ręczę, że to jakiś włóczęga, który już oddawna o ojczyźnie zapomniał.

— Mnie się ten jegomość odrazu niepodobał — rzekł Robert — to też, gdy nas zapraszał, abyśmy z nim wstąpili do téj gospody w ciasnym jakimś zaułku i zjedli razem podwieczorek, nie miałem do tego najmniejszej ochoty. Ale ty, mój Henryku, zanadto masz dobre wyobrażenie o ludziach i zdawało ci się, że odmowa byłaby uchybieniem. Wielkie to było szaleństwo z mojej strony, że się dałem namówić; chcieliśmy być uprzejmi i zasiedliśmy z nieznanym do stołu. Czy pamiętasz, jakie on niestworzone rzeczy nam opowiadał o swoim pobycie w kopalniach Golkondy, o przepysznych dyamentach, które ztamtąd przywiózł. Nie pojmuję doprawdy, jak mogłem być tak nieostrożny, aby mu z blizka pokazać mój pierścień, szacowny pierścień Kadura, który tyle razy wybawił mnie z niebezpieczeństwa w podróży. Nigdy nie zapomnę, jak mu oczy zabłysły na widok tego topazu, jak pożądliwie nań spoglądał.

— To wcale ładny pierścionek — wycodził przez zęby.

— Nic osobliwego — odpowiedziałem, chcąc naprawić swoją nieroztropność.

— A jednak tak mi się ten topaz podobał —

mówił chytry Hiszpan, — że dam panu chętnie za niego piękny dyament. Czy zgoda?

— Nie oddam tego pierścienia za wszystkie skarby świata — przerwałem z oburzeniem.

— A przed chwilą pan mówiłeś, że nie przywiązujesz do niego wielkiej wartości.

— Jest to pamiątka droga dla mnie, gdyż pochodzi od człowieka, który mi był bardzo życzliwym.

— Mniejsza o to — rzekł chytry człowiek, udając obojętność; ale gdyśmy wstali od stołu i zbierali się do wyjścia, znowu mi zaczął dokuczać:

— Dam panu dwa dyamenty za ten pierścień.

— A ja go i za sto nie oddam.

Wyszliśmy wreszcie z gospody i spotkaliśmy dwóch jakichś ludzi w tej ciasnej uliczce. Zdało mi się, że nasz przewodnik zamienił z nimi spojrzenie. Nie pamiętam dla czego ty, mój Henryku, pozostałeś w tyle i nie widziałeś tego; zacząłem coś złego podejrzewać i sięgnąłem machinalnie po pistolet, niestety! wtenczas dopiero spostrzegłem, że go pozostawił w olstrach mojego siodła; na statek nie mogliśmy zabrać wierzchowców, tyś je przez uczciwość odesłał z Dżiddy dawnemu właścicielowi.

Szliśmy dalej, uspokoiłem się trochę, miałem nadzieję, że przed nocą wyjdziemy na ludniejsze ulice. Ale niegodziwy Hiszpan umyślnie nas prowadził w najciaśniejsze, odludne zaułki, i noc zapadała, a my krążyliśmy ciągle po jakichś wązkich uliczkach, gdzie nie widać było żywego ducha. Dzięki Bogu nie jestem tchórzem, lecz wyznaję, że bardzo nie milego doznałem wrażenia, gdy ten łotr gwizdnął przeraźliwie i pochwycił mię nagle za gardło, wołając:

— Musisz mi oddać ten pierścień!

W téjże saméj chwili przyskoczyło dwóch drabów i nie wiem, coby się było stało ze mną, gdybyś ty, drogi Henryku, nie był przyskoczył z twoim jataganem w rękę. Na szczęście ty przynajmniej nie byłeś bezbronnym. Jak lew rzuciłeś się na moich napastników i zraniłeś tego, który mnie trzymał. Zdrójca padł, brocząc we krwi, dwaj nikczemni tchórze uciekli, ale dla nas niebezpieczeństwo wcale nie minęło. Zrozumieliśmy od razu, że w tym obcym kraju, nieznani, bez żadnej opieki, mogliśmy sami być posądzeni o morderstwo. Więc nie tracąc czasu uciekliśmy do portu i wsiedliśmy na pierwszy lepszy statek, odpływający z Adenu, nie pytając nawet, gdzie nas zawiezie. Na drugi dzień dopiero dowiedzieliśmy się, że zmierzamy do perskich wybrzeży. Wysiedliśmy na ląd, ale jakże smutne odkrycie uczyniłem, opuszczając statek! Chcąc się rozplącić, spostrzegłem,

że mi brakło pugilareshu z pieniędzmi, a co gorsza, nie miałem na palcu pierścienia!

— Biedny Robercie — rzekł Henryk — nie dziwię się twojemu zmartwieniu. Z kapitanem okrętu daliśmy sobie jakoś rady, oddając mu część naszego odzienia, ale ja wiem, że ciebie ta strata szacownego daru zacnego Kadura najwięcej bolała. Dotąd pocieszyć się nie możesz.

— Wolałbym być — rzekł Robert z westchnieniem — utracić palec u prawej ręki, aniżeli ten pierścień. Ten niegodziwiec na złe go tylko używać może. Nie, nigdy w życiu nie daruję sobie téj nieroztropności.

Henryk starał się wszelkimi sposobami uspokoić i pocieszyć przyjaciela.

— Nie zapomnij, drogi Robercie — mówił, — że jeśli utraciłeś pierścień Kadura, pozyskałeś natomiast opiekę zacnego i możnego Uzbeka. Ten nas z pewnością nie zwodzi udaną życzliwością, ale prawdziwie po ojcowsku się z nami obchodzi.

Wtém usłyszeli szelest od strony bramy, Uzbek w towarzystwie dwóch innych Persów wchodził do ogrodu. Spostrzegłszy młodzieńców wołał z daleka donośnym głosem:

— Cieszcie się, moi panowie, mam dla was dobrą wiadomość.

Słyszając te słowa dwaj przyjaciele pośpieszyli naprzeciw niemu.

— Dobra wiadomość — rzekł Robert do Henryka — co to być może? chyba jakieś wieści o Jakóbie i Marku.

— Albo o pierścieniu Kadura — dodał Henryk.

Gdy trzej Persowie zbliżyli się do nich, Uzbek rzekł:

— Idąc tu do was, spotkałem po drodze tych dwóch kupców, przybywających prosto z Indyj, z Lahory. Wyobraźcie sobie, że wiozą list adresowany do pana Roberta.

Młodzieniec był zdumiony.

— Któż mógł pisać do mnie? kto mnie znać może w Indyach.

Jeden z dwóch kupców wyjął z zanadrza woreczek skórzany, a z woreczka wydobył wielką kopertę opieczętowaną. Robert wyczytał na niej adres w następujących słowach:

„Do rąk własnych pana Roberta Kergorieu, podróżnika Francuza, który obecnie może być w Egipcie, Arabii lub w Persyi”.

— Dziwna rzecz — mówił Robert, obracając list w rękę — nigdy w życiu nie widziałem tego pisma. Ach — dodał z westchnieniem — poznałbym od razu pismo pocziwego Jakóba!

Rozerwał wreszcie kopertę i spojrzał na podpis.

— Sir James Primrose! — zawołał i czytał głośno list Anglika, jak następuje:

„Od chwili, gdyśmy się rozstali na wybrzeżach Nilu, przebiegłem kawał świata, a i wy zapewne o sobie toż samo powiedzieć możecie. Widziałem was wyruszających z karawaną i sądzę, żeście się musieli dostać szczęśliwie aż do Mekki. Nie wiem, gdzie was ten list dogoni. Na wszelki wypadek adresuję go do Egiptu, Arabii lub Persyi i wysyłam w różne strony świata w kilku egzemplarzach, przez kupców wędrujących w interesach handlowych po obu tych krajach. Tym sposobem pewny jestem, że jeden z tych listów do rąk waszych dojdzie.

Choćbyście najprzyjemniej czas pędzili w krainie Faraonów, Beduinów, lub w Ispahanie, stolicy państwa Perskiego, proszę was, uczynicie zadość mojemu życzeniu i przybывajcie do mnie niezwłocznie. Wyglądam was z największą niecierpliwością. W Indyach angielskich czekają was jeszcze cudowniejsze widoki, niż te, jakieście podziwiali w krainach, któreście dotąd zwiedzali. Tu najpierw zachwycać się będziecie nieporównanem bogactwem przyrody, a potem, jeżeli was nęca przygody myśliwskie, możecie to upodobanie zadowolnić. O parę mil od Lahory łatwo jest napotkać dzikie słonie, tygrysy, węże ogromne, nie zabraknie wam zatem wrażeń, przy których owo spotkanie z krokodylem nad brzegami Nilu wyda się dziecinną igraszką.

Nie potrzebuję dodawać, że wygodne mieszkanie, *bengalow*, jak tu mówią w Indyach, jest dla was w pogotowiu, i że znajdziecie w niem szczerą i serdeczną gościnność.

Wasz przychylny James Primrose”.

„P. S. Możecie zaufać we wszystkim oddawcom tego listu i odbyć podróż wraz z nimi”.

Gdy Robert skończył czytanie, Uzbek odezwał się w te słowa:

— Przykro mi bardzo, że utracę tak prędko miłych gości, do których się szczerze przywiązałem. Nie śmiem was jednak zatrzymywać, gdyż widzę, że ten Anglik ma prawa dawniejsze do waszej przyjaźni. Spodziewam się jednak, że nie zapomnicie o mnie; ja zawsze mile wspominać będę chwile, które spędziłem w waszém towarzystwie.

Robert i Henryk ze zwruszeniem dziękowali zacnemu Persowi za wszystkie dowody życzliwości, któremi ich obsypywał w swoim domu.

Wtém usłyszano znów kroki od strony bramy, sługa zbliżył się do Uzbeka i podał mu pakiet opieczętowany, mówiąc, że posłaniec jakiś, przybывający zdaleka, przyniósł go w téj chwili. Pers rzucił okiem na adres i rzekł:

— Ależ ten list jest także do was adresowany, moi panowie.

Robert chwycił pismo z rąk jego i czytał:

„Do rąk pana Roberta Kergorieu, a w nieobecności jego, do rąk pana Henryka Vertpré, którzy to dwaj podróżnicy francuzcy wybrali się do Mekki, a obecnie znajdować się muszą gdzieś na wybrzeżach odnogi Perskiej, inaczej zwanéj Morzem Czerwoném”.

— O, teraz, to już niezawodnie od Jakóba! — zawołał Robert uradowany i szybko rozerwał kopertę. List brzmiał jak następuje:

„Moje drogie dziecię, lub dzieci drogie, bo nie wiem nawet, czy obaj jesteście razem. Śpieszę przysłać wam tę bazgraninę, aby was uwiadomić, że po różnych wydarzeniach, przypadkach, przygodach i niespodziankach wszelkiego rodzaju, zabiegłszy wraz z Markiem aż do chińskiego miasta Makao, gdzie na was czekamy i wyglądamy niecierpliwie. Nie możecie sobie wyobrazić, jak nam tu przykro i tęskno za wami. To też osiedliwszy się tu na stałe, zaraz wam dajemy znać o tém i zapraszamy.

Prowadzimy tu handelek herbatą i wcale nieźle wychodzimy. Ja zarobiłem już tyle, że kupiłem sobie mały okręcik żaglowy i wysyłam go, aby płynął wzdłuż brzegów i zabrał was, jak tylko się odnajdziecie. Wyruszajcież natychmiast z oddawcą tego listu, który wam drogę wskaże i dowiezie aż do Makao, gdzie my obaj z Markiem zapijamy się winem ryżowém i zjadamy pomarańcze.

Wasz przyjaciel Jakób,
dawny majtek okrętu „Pogromu”.

„P. S. Marek wygląda najzabawniej w świecie w stroju chińskim i myśli już o tém, aby zostać koniecznie mandarynem, chociażby trzeciej klasy”.

Robert był uszczęśliwiony, powtarzał raz po raz:

— Dzięki Bogu, żeśmy ich przecież odszukali.

Lecz po chwili nowy kłopot przymieszał się do téj radości.

(D. c. n).

ROZMAITOŚCI.

Podajemy tu ustęp z listu, pisanego przed kilku tygodniami przez pewnego młodzieńca do krewnéj, która się nim w dzieciństwie opiekowała. Sądzimy, że te wyrazy, tak pięknie świadczące o sercu piszącego, rozrzuwną naszych czytelników tak samo, jak nas rozrzuwniły, a przytém będą dla nich wzorem godnym naśladowania.

„Najdroższa Marynko! Przeczytawszy Twój list, głęboko się zamyśliłem. W każdym słowie

poznałem two tkliwe, kochające serce i całe moje dzieciństwo stanęło mi przed oczyma; przypomniałem sobie dom na Sto Krzyżkiej ulicy, do którego mnie zawsze magnetyczna jakaś siła przyciągała i was wszystkich, moi drodzy. Tą magnetyczną siłą byłeś Ty, najdroższa Marynko! Pamiętam, z jaką macierzyńską troskliwością mną się opiekowałaś i zasady religijne wpajałaś we mnie. Jeśli wyjdę na człowieka, godnego w oczach ludzi i Boga, z pewnością będę to Tobie tylko zawdzięczał; Pierwsze bowiem wychowanie najwięcej w tém stanowi. Na wrażliwy mój umysł dobre Twoje rady i wyrozumiałość ogromne wywierały wrażenie. Teraz jeszcze, gdy się spać kładę, zdaje mi się, że słyszę Twój głos łagodny, pytający mnie, czym dopełnił rachunku sumienia i odmówił pacierze? Czuję, że ten głos mnie zawsze od złego powstrzymywał i nadal powstrzyma. Czytając two pochlebne zdanie o Felku, mimowoli go z sobą porównałem. Wiem, jak mu musi być błogo między Wami i spodziewam się, że kiedyś wspominać będzie z rozrzewnieniem, tak samo, jak ja, o swych dziecinnych latach. Ucałuj go serdecznie odemnie, droga Marynko i powiedz, że go zawsze, jak rodzzonego braciszka uważać i kochać będę. Mnie, moi drodzy, dobrze się powodzi. Dostałem promocyą do wyższej klasy".

Zagadka mnemoniczna.

(Od Anulki I. dla Antosia I. w Tarnopolu).

Jaki jest poeta polski, którego nazwiska *pierwsza litera*, połączona z *pierwszemi literami* tytułów dwóch sławnych jego poematów, utworzy wyraz: *Los*?

TRZY SIOSTRY.

Zagadka.

Gospodyni posyła trzy córki na targ do miasta i takie im daje rozporządzenie:

— Macie tu 90 jaj. Zuzia, najstarsza, weźmie 50 w koszyk, Fruzia, średnia, 30, a Różia, najmłodsza, zabierze resztę, to jest 10. Pamiętajcie, żebyście sprzedawały jaja po tej samej cenie i żeby każda przyniosła do domu też samą ilość pieniędzy.

Dziewczęta były w wielkim kłopotcie, idąc do miasta, bo jak tu spełnić taki rozkaz? Przecież dały sobie jakoś rady.

Jakim sposobem?

ROZWIĄZANIA DO N-ru 48-go.

Szarady:

Le o ka dy a.

Łamigłówki głoskowe:

Oko pańskie konia tuczy.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Mani i Zosi S. w Antonowie. Szarada trafnie odgadnięta a liścik bardzo porządnie i ładną kaligrafią napisany. Dziękujemy za wiadomość, że *Wieczory* tak się podobają. Przygody młodych podróżników nie mogą się tak prędko skończyć, bo świat cały objechać, to nie żarty. Musimy więc radzi nie radzi przeciągnąć je troszkę dłużej w nadziei, że czytelnicy kochani nie będą się o to gniewali.

Janowi P. w Warszawie. Liścik z takim ślicznym bukietem, i to wśród zimy, ucieszył nas bardzo, a zwłaszcza, gdyśmy się z niego dowiedzieli, że nasze *Pisemko* witane jest co tydzień z przyjemnością i czytane z zajęciem. Radzibyśmy dogodzić tak miłemu korespondentowi i wydrukować nadesłaną łamigłówkę, ale cóż, kiedy nie jest według prawideł ułożona. Najpierw trzeba, aby i końcowe litery miały jakieś znaczenie, a potem Aleksandrya pisze się przez y. a nie przez i. Wyglądamy inną łamigłóvkę, a chętnie ją zamieścimy, bo teraz nie mamy ich zanadto.

Marylce. Otrzymaliśmy dwie łamigłówki, z tych pierwszą z liter rozsypanych zamieścimy niezadługo, druga zaś nie przyda się na nic, bo tylko początkowe jej litery tworzą nazwisko. Już nieraz tłómaczyliśmy kochanym czytelnikom, że według przyjętych prawideł, i pierwsze i ostatnie powinny mieć znaczenie. Radzimy brać za wzór łamigłówki umieszczane w *Wieczorach* i podług nich układać inne. Teraz podajemy właśnie różne nowe wzory.

Anusi B. w Dąbrowie. Żądany Nr Pisma wysłaliśmy pod wskazanym adresem. *Tajemnica starego dworu* nie może być nabyta osobno, gdyż mamy już tylko nieliczne egzemplarze całego kompletu czesłorocznych *Wieczorów* i tych psuć nie możemy. Powiastka ta wyjdzie w osobnej odbitce nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa, ale nie wiemy kiedy.

Pani St. N. w Wojniłowcach. W Piśmie naszym tłómaczenia z obcych języków wyjątkowo tylko bywają zamieszczane. Powiastki z angielskiego nie są tłómaczone, ale przerabiane. Pracy tej podjęła się stała nasza współpracowniczka i prowadzić ją będzie nadal. Dla tego też pomocy oharowanej przyjąć nie możemy, chociaż nadesłana próbka jest bardzo dobra, prawie bez zarzutu.

Wszystkich małych czytelników naszego Pisma przepraszamy bardzo, iż Dodatku, przeznaczonego dla nich, nie otrzymali w Nrze 49. Stało się to w skutek nieuwagi, popełnionej w drukarni. Za to w roku przyszłym nie już podobnego się nie przytrafi, gdyż Dodatek dla małych dzieci będzie stale co tydzień zamieszczany.

DOBRA NOC.

St. Moniuszki.

Larghetto.

Bły-szczą gwiazdki na błę - ki - cie, Ja - każ wiel - ka Bo - ska moc!

spoj-rzuj, Bo - że, na twe dzie - - - cie, daj mi Pa - nie do - brą noc, do-brą

noc, do - brą noc, daj mi Pa-nie do - brą noc!

Świećcie gwiazdki, jak świecicie
O cudowna Boska moc!
Spojrzyj, Boże, na twe dziecię.
Daj mi Boże dobrą noc!

Strzeż nas, dziatki utrudzone,
Ufające w Twoją moc;
Obróć oko w naszą stronę,
Daj nam, Boże, dobrą noc!

Świećcie gwiazdki, jak na straży,
Objawiajcie Boską moc;
Niech się złego nic nie zdarzy,
Wam gwiazdeczki, dobra noc!